

## MOJA DROGA Z PARTII DO OJCA

1. Kiedy opuszczałem francuską partię komunistyczną, zachowałem nadal wiarę w metody marksistowskiej analizy relacji społeczno-ekonomicznych i starałem się zachować strategię oraz taktykę leninowską jako dosyć dobre rozwiązania politycznych niepokojów naszych czasów. Albowiem sowieckie zastosowania analizy marksistowskiej i dogmatu leninowskiego wydawały mi się całkowicie nieodpowiednie do zapewnienia wyzwolenia i dobrobytu istot ludzkich.

Znalazłem się zatem zupełnie sam, przesycony sceptycyzmem, porażony i pozbawiony wszelkiej nadziei na sprawiedliwość społeczną, która miałyby być wyłącznie czymś i pustym, a więc pozbawionym sensu i treści dążeniem człowieka.

Nosiłem w sobie to zwątpienie, a niekiedy także brak nadziei, w niekończącej się nigdy samotności.

Było to prawdopodobnie przygotowanie do poszukiwania innej wiary. Ale jakiej? Mój długi, trwający aż 24 lata, pobyt w armii komunistycznej sprawił, że zachowałem mentalność nacechowaną rygorem, ścisłym odnoszeniem się do faktów i rozumowaniem naukowym. Wszystko zaś to nie stanowi *a priori* stanów predysponujących do pogrążenia się w jakiegokolwiek przepaści religijnej. Przynajmniej tak się sądzi na ogół.

Pomijam to, czym były dla mnie te tak specyficzne udręki osamotnienia, ta gorzka idea nicości, a w końcu zgoda na bezużyteczność własnej egzystencji. Nie przypominam sobie też tego, bym kiedykolwiek odczuwał jakieś wielkie pragnienie rozplynięcia się w jakimkolwiek sztucznym raju. Byłem jedynie człowiekiem zniechęconym.

Ci, którzy przeszli przez to wszystko, zrozumieją łatwo, czym jest ta szczególna odmiana nieszczęścia polegającego na „obraccaniu się w nicość”. Nie myślałem nawet o tym, by prosić kogoś, choćby nawet Boga mojego dzieciństwa, o to, aby mnie wydobył z tego stanu. Boga? Od dawna umieściłem ten problem w nawiasach, starając się go nawet nie dotykać, tak jak gdybym się obawiał tego, że znajdę się nagle w obecności kogoś lub czegoś bulwersującego. Kto wie: może nawet katastrofy?

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak kierować maksymalnie samym sobą, to znaczy dokładniej: moim mózgiem. Właśnie

stąd wynikała ta hyper-aktywność intelektualna i zawodowa (byłem dziennikarzem i pisarzem naukowym równocześnie), która mnie cechowała od 1960 roku.

Odnalazłem się po prostu w stanie intensywnej eksploatacji wiedzy naukowej i całego świata nauki, znajdując tam spokój, pogodę ducha, a nawet wygodną pewność intelektualną. Pewność, jaką zapewnia zrozumiałe, lub przynajmniej dające się zrozumieć, środowisko.

To, co rozumne, możliwe do pojęcia, racjonalne — oto moje zasadnicze wymagania intelektualne. I te właśnie wymogi podtrzymują także obecnie z wielką uwagą i przywiązaniem.

2. Moja droga ku Bogu wynikała z doświadczanej przeze mnie potrzeby odkrycia tego, czym właściwie była Historia Człowieka. Zainteresowałem się najpierw paleontologią ludzką, a następnie historią trzech wielkich momentów cywilizacji: cywilizacją etruską, celtycką i kartagińską.

Niezależnie od uczuć i emocji, jakie mi towarzyszyły wówczas, kiedy odkrywałem wciąż te same znaki ludzkie w ciągu całych dziesiątków tysięcy lat i stuleci, wygrzebywanych tą właśnie drogą z zapomnienia, doznałem nagle nowej sensacji: sensacji odwieczności człowieka. Tej jego ciągłej trwałości wyzwolonej z ograniczeń czasu i rozwoju samej planety jako takiej.

Przypominam sobie przejmujące świadectwo grobów etruskich, które pomimo swych 2500 lat istnienia ukazują nam nagle przejawy trwogi i nadziei, tak bardzo podobnych do naszych lęków i naszych nadziei. Stąd zaczyna się także nowa wizja przeznaczenia bytu ludzkiego. Przeznaczenia, które zespala jednostki i wiąże je nieubłagane z ogólnym losem gatunku. Nie ma żadnego przypadku indywidualnego, nie ma też miejsca na improwizację. **Powiedziano by zapewne, że stopniowe dojrzewanie człowieka było przygodą metodologicznie i uczuciowo dobrze przygotowaną.** Miałem wówczas bardzo jasne odczucie, że przygoda ludzka nie mogła się włączyć ani drogą przypadku, ani jakiejś konieczności, w ogólne pasmo ruchu życia. Z tego właśnie okresu pochodzi moja osobista pewność natury i bytu ludzkiego jako stworzenia.

Przyjąłem to spostrzeżenie z pewnym niepokojem, albowiem wierzyłem w koncepcję materializmu naukowego, który się opowiadał za ideą Lamarcka głoszącego ciągłe komplikowanie i nieustanne doskonalenie form żyjących. Wydawało się przeto rzeczą logiczną, że ewolucja istot żywych miała iść aż ku istocie ludzkiej, dziedziczącej wertykalność oreopiteka, zręczność rąk naczelných (*primates*), i wyposażonej w końcu w specyficzną inteligencję.

Mamy przeto całkowicie logiczny schemat, rozumny — jak zwykło się mówić: istota żyjąca, ukonstytuowana z tych samych materiałów, co rzeczy kosmosu, zbudowane z materii mineralnej. Z typową dla siebie manią specjalizacji wielkie dyscypliny naukowe mogą odkryć w ludzkim bycie samą istotę tego, co je interesuje. Chemicy wyodrębniają stopniowo główne elementy konstytuujące nasz świat mineralny: wapno, węgiel, żelazo, siarkę, potas, miedź, cynk, wodę itd. Biochemicy dostrzegają nieustanne zmiany różnych metabolizmów naszego ciała. Cybernetycy z kolei zauważają, że w ostatecznym rozrachunku mózg ludzki przedstawia zarządcę, i to dobrej jakości. Nie zapominajmy również o psychologach, którzy zgadzają się na dostrzeżenie i wyróżnienie w istocie ludzkiej przedziwnych poruszeń duszy. Krótko mówiąc, otrzymujemy w ten sposób portret jakiegoś wyższego zwierzęcia, które naukowcy ateistyczni umieszczają tak po prostu na samym szczycie ewolucyjnej piramidy Darwina. Ścisłe rzecz biorąc, arcydzieło to wymagałoby przypisania go jakiemuś stwórcy dobrze zorientowanemu i działającemu docelowo, który by się bawił fabrykowaniem takich super-automatów. Byłem skłonny zatrzymać się w tym miejscu i widzieć w tych tak skomplikowanych urządzeniach martwego kosmosu oraz istot żyjących na ziemi rękę Zegarmistrza Voltaire'owego. Innymi słowy — podpis Boga panteistycznego. Przedmiot ciekawości, bądź też spekulacji intelektualnej. I nic więcej!

Moje zetknięcie się twarzą w twarz z tą hipotezą przedłużało się w trakcie kolejnych lat, co oznacza, że ją przechowywałem w jakimś zakamarku mojego umysłu. Oczywiście, specjalnie się tym nie przejmując. Albowiem taki stwórca bynajmniej mi nie przeszkadzał. Nie czułem się w żaden sposób z nim związany, zależny od niego, traktując siebie samego jako jedno z tych arcydzieł, jakich on dokonał od zarania dziejów. Czy jednak nie chciałem pójść niekiedy odrobinę dalej i odkryć jakieś wzruszenia religijne z mojego dzieciństwa? Sądzę, że mogło tak być, podobnie zresztą, jak w przypadku poszukiwania tekstów literackich czy dziennikarskich, które mnie poruszyły w latach mojej młodości.

3. Bezwiednie wkroczyłem na drogę udręk. W miarę jak życie nakazywało mi dokonywanie wyborów, analizowanie, zawiązywanie nowych relacji uczuciowych, czułem się coraz bardziej zależny od całości tych czynników, które nie wynikały już z dziedziny harmonii naszego ciała, bądź też z naszych odniesień do tego, co nas otacza. Chwytał mnie znowu niepokój.

Niepokój mojego synostwa. Oczywiście, różne teorematy, do-

wody, sylogizmy: wszystko to prowadziło dosyć łatwo do Boga Stwórcy, ale takiego, który jest panteistycznym Bogiem agnostyków. I znów był to Bóg, który potrafi zachować nasze serce jako wyschłe, bezuczuciowe, suche. W kontakcie z muzułmanami na pustyni arabskiej miałem okazję poczuć się zaskoczony i zdumiony, widząc, jak ogarnia mnie pewien rodzaj żarliwości mistycznej. Chcąc wyrazić to prościej, powiem, że słyszałem wtedy dosyć wyraźnie w sobie samym głos: głos krwi. Jakiej krwi, jakich przodków, jakiego Ojca?

Prawdę mówiąc, doświadczyłem wielu obaw, zanim podjąłem pierwsze kroki prowadzące do poznania mojego synostwa. Obawiałem się bezużytecznego błędzenia, pomylenia drogi oraz konieczności zdemontowania mojej logiki naukowej. Za nic w świecie nie zgodziłbym się na poddanie w wątpliwość samych podstaw mojego rozumowania naukowego. Prawa, które rządzą zjawiskami wszechświata, są imperatywne i święte, albowiem właśnie one zapewniają odwieczną równowagę materii we wszystkich jej formach: molekularnej, atomowej, partykularnej, nieożywionej bądź ożywionej. Wystarczy, aby jedno z tych praw zostało naruszone, a całe stworzenie znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie. Przynajmniej wtedy, gdy to naruszenie będzie wynikiem jakiegoś wypadku. Jednak wówczas nie zgadzałem się jeszcze na ideę ewentualnego uwzględnienia boskiej interwencji: cudu.

Miałem przy tym dwie obsesje: jedna polegała na tym, że czułem się konkretnie stworzeniem, drugą zaś było powszechne i bardzo rygorystyczne stosowanie praw odkrywanych stopniowo przez naukę.

W rzeczy samej jednak czy nie było żadnej sprzeczności między tymi dwiema obsesjami? W każdym bądź razie te dwie sprawy stanowiły przedmiot moich zasadniczych zainteresowań. Ileż to razy podejmowałem od początku cały ten łańcuch stopniowego wnioskowania: na początku była chmura protoplanetarna, nagromadzenie pyłu międzysatelitarnego, a dopiero potem nastąpiło kształtowanie się planet i warunków sprzyjających biogenezie, potem mamy pierwsze bełkoty aminokwasów, potem pojawienie się życia, potem, potem, potem. A w końcu — Człowiek. Tak, logika istoty żywej nie prowadzi koniecznie do logiki Boga.

A jednak odczuwałem instynktownie, że powinna istnieć tutaj jakaś logika Boża. Było bowiem czymś nie do pojęcia, by ten Bóg stwórca, który zadał sobie tyle trudu, aby zorganizować świat tak złożony, logiczny, mógł się wycofać w pół drogi i pozbawić nas w ten sposób wszelkiego kontaktu ze Sobą. I to do tego stopnia, że nie można Go już dostrzec poprzez gęste opary naszej igno-

rancji, względnie naszej pychy. Dlatego po tym systematycznym dociekaniu nacechowanym wielkim rygorem naukowym pokusiłem się zbliżyć uczuciowo do Boga. Modlitwa, ten rodzaj monologu na początku, który staje się potem serdeczną wymianą, przynosi nieuchronnie uzupełnienie poznania, przenoszące człowieka poza i ponad nieubłagany świat faktów.

Nic nie zostało zakwestionowane: ani molekularna struktura wody, ani prawa powszechnej grawitacji, ani zasada zachowania energii, ani podstawy termodynamiki. Wszystko to pozostaje w mocy, jest niepodważalne, bezwzględne. Pojawia się jednak właśnie wtedy ten olbrzymi dodatek radości, wzruszenia i miłości. Wartości, które nie dają się zmierzyć, które się wymykają pospolitym odniesieniom skutku do przyczyny i które sublimują religijne odniesienia stworzenia do swojego Ojca, czyli człowieka do Boga.

Na tym stadium mojej wędrówki życiowej mogłem już powiedzieć, że w żadnym momencie moje nastawienie naukowe, moje wymaganie należytego uwzględniania wszystkich faktów nie przeszkodziło mi w moim poszukiwaniu Boga.

4. Jest czymś zgoła fałszywym i pretensjonalnym, a nawet niedopuszczalnym, wprowadzanie antynomii pomiędzy myśleniem naukowym i wiarą religijną. Nauka jest bowiem tylko częścią wysiłków zmierzających do odkrycia rzeczywistości tego, czym jesteśmy i co nas otacza. Nie widać także, w jaki sposób to tak subtelne założenie poznawcze mogłoby nas prowadzić do zablokowania naszego zgłębiania prawdy. I to w momencie, kiedy stajemy wobec tak istotnego pytania o swoje znaczenie, czyli — innymi słowy — o sens i cel naszego przeznaczenia. Dojście w ten sposób do idei Boga, do pewności naszego dziecięctwa Bożego, jawi im się tak bardzo logicznie, tak wyraźnie dające się dowieść, że jest ono po prostu zasadą Archimedesesa lub teorematem Pitagorasa.

Skoro sam przeżywałem tę drogę, i to przez wiele lat w poczuciu braku komfortu, twierdzę z całym przekonaniem, że rozum prowadzi nas ku Bogu. Pod warunkiem jednak, że się nie przystroi dziwacznie rozumowi błędami, które nie są mu właściwe, naturalne. Dowodem na to jest fakt, że ponad dwie trzecie naukowców żyjących obecnie w świecie zachodnim — to deści.

Twierdzenie, że rozum prowadzi nas ku Bogu, nie oznacza samo przez się, że rozum nam wystarcza, aby móc dostrzec to, kim ogólnie lub całościowo jest Bóg, ani też, że daje on nam pewność tego, jakie są właściwie zamiary Boga oraz osobiste odniesienia do Boga. Rozum jest ostatecznie w odkrywaniu Boga tym, czym bywa geografia w poznawaniu naszej planety. Aby wnikać w głę-

bię tej panoramy i uchwycić w niej to, co jest tam ludzkiego, uczuciowego, poruszającego, trzeba, rzecz jasna, się usytuować w samym łonie tej czy innej wspólnoty istot ludzkich. Podobnie także chcąc z Bogiem relacje przekraczające obserwację z dystansu, trzeba stworzyć nieodzowną zażyłość. I oto tutaj interweniuje Chrystus ze swoim orędziem, które przekazuje nam w imieniu Ojca.

Odtąd odniesienie do Boga zostaje napełnione także człowieczeństwem, zaufaniem, miłością. Ale szybko przybiera inny jeszcze wygląd: jest to relacja religijna. Od tej chwili się stwierdza, że żadna z władz ludzkich nie znajduje się już poza tą miłością. Rzeczywistość stworzenia wyjaśnia się logicznie, naukowo, wraz ze wszystkimi jej złożonościami mechanicznymi i biologicznymi. Ludzka istota stworzona staje się zrozumiała we Wszechświecie istot żywych, na samym szczycie zwierzęcości. Natomiast przeznaczenie tego stworzenia ludzkiego nabiera znaczenia, które umacnia człowieka wewnątrz, albowiem dostrzegamy z całą oczywistością, że nic z tego, czym jesteśmy i co zdobędziemy dzięki doświadczeniu i kulturze, nie zostanie nigdy unicestwione.

Pierwotna idea, jaką mieliśmy odnośnie do dziedziczenia i wieczności, zostaje odtąd potwierdzona. Możemy przeto zaakceptować śmierć już jako nie to katastroficzne unicestwienie ateistyczne, lecz jako przejście do innego stanu synostwa Bożego.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC